

Kontrowersyjne dzieje szwedzkiego „socjalizmu”

W sylwestrowo-noworocznym dodatku „Plus minus” do Rzeczypospolitej redaktor Tomasz Wróblewski zamieścił niezwykle ważny, choć siłą rzeczy pobieżny i powierzchowny, tekst o przemianach społeczno-gospodarczych, jakich doświadczyła w ostatnich dekadach Szwecja. Autor dowodzi w swoim opracowaniu, iż Szwedzi „przeprosili się ze zdrowymi zasadami wolnorynkowej gospodarki”, że powrócili do „fundamentalnych wartości obrony praw człowieka i wolności gospodarczych” oraz że „szwedzkie państwo dobrobytu upadło z hukiem” dowodząc niewydolności tej nieudanej socjalistycznej inżynierii społecznej. Ogólnie z powyższymi tezami należałoby się zgodzić – procesy gospodarowania w tym północnym kraju przebiegają obecnie w bardzo liberalnych ramach instytucjonalnych, szeroko rozumiane wolności obywatelskie święcą dziś triumfy, a raj socjalny z lat 80. należy już tylko i wyłącznie do wręcz zamierzchłej przeszłości. Bardzo dobrze się stało, że redaktor Wróblewski zdecydował się naświetlić te kwestie w poczytnym dzienniku, ponieważ dzięki temu być może uda się wreszcie uaktualnić obraz Szwecji w oczach Polaków, którzy ciągle jeszcze postrzegają ten kraj jako oazę łatwego dobrobytu i hojnych świadczeń socjalnych nie dostrzegając jednak, iż Szwedzi naprawdę ciężko na to wszystko pracowali i nadal pracują. A to, że po drodze zabrnęli nieco w ślepe uliczki, to już inna sprawa.

Tekst redaktora Wróblewskiego nie jest niestety wolny od mitów innego rodzaju oraz niedopowiedzeń, które poczuwam się w obowiązku sprostować lub zupełnie odrzucić. Przede wszystkim dlatego, aby owa narracja była bliższa rzeczywistości oraz pozwoliła na pełniejsze zrozumienie czym tak naprawdę był model szwedzki i dlaczego jego współczesne dziedzictwo jest bardzo silne. To, co najbardziej chciałbym podkreślić, to trzy rzeczy. Po pierwsze, mówienie o szwedzkim „socjalizmie” jest ogromnym uproszczeniem sprawy, a nawet pewną nadinterpretacją tego pojęcia. Model szwedzki zawsze opierał się na dążeniu do pełnego zatrudnienia w ramach konkurencyjnej gospodarki rynkowej! Po drugie, to nie rządy Fredrika Reinfeldta „odwróciły destrukcyjne mechanizmy wolnorynkowe [oraz] przywróciły Szwedom wolność”, tylko uczyniła to szwedzka socjaldemokracja widząc absolutną indolencję rządów centroprawicowych. I po trzecie, Szwecja do dzisiaj pozostaje krajem

posiadającym bardzo rozbudowaną sferę publiczną, wysokie podatki i rozległy system transferowy. Szwedzkie państwo dobrobytu – ów „lewicowy sen” – trwa nadal.

Zacznijmy jednak od początku, podążając za tokiem rozumowania publicysty Rzeczypospolitej. Faktem jest, że na przełomie XIX i XX wieku Szwedzi doświadczyli niesamowitego skoku cywilizacyjno-gospodarczego. I choć wolny rynek odegrał w tym procesie ważną rolę, to bardzo chętnie korzystał z pomocy państwa oraz z warunków instytucjonalnych przez niego stworzonych (zniesienie systemu cechowego, system obowiązkowego szkolnictwa, rozwój infrastruktury komunikacyjno-transportowej, inspektorat bankowy itp.). Wspomniany w artykule Johan A. Gripenstedt, mimo znaczących zasług dla implementacji rozwiązań rynkowych, nie był wolnorynkowym fundamentalistą. Podczas kryzysu z 1857 roku wspierał finansowo banki zagrożone utratą płynności (jego następcy na stanowisku ministra finansów czynili to samo), a także sprzeciwiał się prywatnym inwestycjom kolejowym – kolej miała pełnić funkcje integracji geograficzno-społecznej, a nie nabijania kabzy bogaczom. Ogólnie podchodzono do mechanizmu rynkowego w sposób niezwykle pragmatyczny i teleologiczny. Miał on po prostu funkcje do spełnienia i jeśli tylko się wywiązywał ze swoich zadań – niechaj działa!

Redaktor Wróblewski pisze też, że być może ze względu na dynamiczny wzrost gospodarczy na przełomie wieków oraz nowoczesne instytucje ekonomiczne „fascynacja socjalizmem dotarła [do Szwecji] stosunkowo późno”. Rzeczywiście pierwszą mowę agitacyjną o socjalistycznym charakterze wygłosił August Palm w Malmö w 1881 roku, a więc dużo później niż w wielu innych krajach europejskich. Trzeba jednak pamiętać, że Szwedzi dopiero około 1870 roku rozpoczęli swój proces industrializacji! Trudno, aby idee socjalistyczne znalazły odzew w społeczeństwie na wskroś rolniczym. Później wydarzenia potoczyły się faktycznie dość szybko. W 1889 roku założono szwedzką partię socjaldemokratyczną (*Sveriges socialdemokratiska arbetareparti*), w 1896 roku lider młodej socjaldemokracji Hjalmar Branting został pierwszym parlamentarzystą z ramienia tej partii, a dwa lata później założono krajową centralę związkową (*Landsorganisationen*), która jednoczyła pod wspólnym sztandarem organizacje związkowe z różnych branż i regionów.

Gorzej było natomiast z realizacją socjalistycznych postulatów. Od zakończenia I wojny światowej do 1925 roku, w okresie dużych turbulencji politycznych i częstych zmian władzy, socjaldemokraci czterokrotnie tworzyli mniejszościowy rząd. I za każdym razem nie potrafili zaproponować nowej formuły polityki społeczno-gospodarczej! Recepty na kryzys powojenny poszukiwano w klasycznej teorii ekonomii – rynek musiał się oczyścić ze złych inwestycji za pomocą deflacji, spadku wynagrodzeń oraz restrykcyjnej polityki kredytowej.

Pod tym względem socjaldemokraci nie różnili się wiele od swoich politycznych przeciwników, co przyniosło im duży spadek poparcia politycznego w atmosferze gorzkiego rozczarowania elektoratu. Co gorsza, wiele propozycji ustawodawstwa socjalnego pochodziło z inicjatywy liberałów (m.in. działalność Adolfa Hedina!), a nie socjaldemokratów.

Przełom w poszukiwaniu nowej tożsamości szwedzkiej lewicy przyszedł w 1928 roku, gdy lider socjaldemokratów Per Albin Hansson podczas kampanii wyborczej zarysował program koncepcji politycznej „domu ludu” (*folkhemmet*). Koncepcja ta była responsem na nawarstwiające się problemy okresu międzywojennego – rosnących nierówności społecznych, niezwykle trudnych warunków mieszkaniowych, rozszerzających się obszarów biedy i nędzy w przeludnionych miastach, masowego bezrobocia. Słowem, była przeciwwagą dla gwałtownych i pospiesznych procesów industrializacji i urbanizacji kraju; odpowiedzią na „efekty zewnętrzne” funkcjonowania nieskrępowanego rynku; próbą poszukiwania wspólnoty w skali makro i odtworzenia przedindustrialnych stosunków społecznych.

„Dom ludu”, a więc dom równości, współpracy i demokracji, nie był koncepcją czysto robotniczą – socjaldemokraci zamierzali stać się partią ludową, odwołującą się do wszystkich warstw społecznych i jednoczącą wszystkich obywateli kraju. Także mieszczaństwo i kapitalistów! Miało to dwojakie konsekwencje. Po pierwsze, socjaldemokraci szybko porzucili wiarę w ortodoksyjny i dogmatyczny marksizm oraz odrzucili koncepcję rewolucji systemowej. Po co ją wywoływać, jeśli miałyby to przynieść cierpienia i krzywdę ludzką, stan chaosu i destrukcji? Ba! Dlaczego postrzegać stopniowe reformy demokratyczne jako zdradę ideałów socjalistycznych jeśli prowadziły do polepszenia pozycji robotników? Przecież to właśnie był chyba nadrzędny cel istnienia związków zawodowych i partii socjalistycznych! Socjaldemokraci zaakceptowali więc kapitalistyczno-demokratyczny porządek, który zamierzali stopniowo reformować z korzyścią dla wszystkich, a nie tylko określonych warstw społecznych. I po drugie, szwedzka lewica szybko sprzymierzyła się z przemysłowcami i kapitalistami. Zrozumiała, że mechanizm rynkowy jest najlepszym sposobem mnożenia materialnego bogactwa i jego odrzucenie byłoby kompletną głupotą. Jak zobaczymy później, zaowocowało to bardzo preferencyjnym traktowaniem dużego przemysłu.

To właśnie była logika, która doprowadziła socjaldemokratów do władzy w 1932 roku i pozwoliła na 44-letnie nieprzerwane rządy oparte na trwałym i szerokim kapitale politycznym! Tylko przez ten pryzmat można postrzegać późniejszą rozbudowę państwa dobrobytu, które nie powstało w społecznej czy politycznej próżni, ale było wyraźną konsekwencją wcześniejszych procesów transformacji społeczeństwa i gospodarki. Trzeba też podkreślić, że szwedzka utopia nie była oderwana od realiów rzeczywistości. W pismach

liderów ówczesnej socjaldemokracji można wyczuć niesamowity ładunek pragmatyzmu i trzeźwej oceny sytuacji (to raczej tacy działacze społeczni jak małżeństwo Myrdalów snuło wizje na pograniczu rzeczywistości i przyzwoitości), które składają się bardziej na ideę komunitaryzmu (w sensie np. współczesnego socjologa Amitai Etzioniego) niż socjalizmu. Nie tylko prawa, ale przede wszystkim obowiązki!

Nawet jednak po objęciu władzy w 1932 roku socjaldemokraci prowadzili ostrożną politykę fiskalną notując często nadwyżki budżetowe. Pomysł nakręcania lub podtrzymywania koniunktury poprzez wydatki budżetowe, prace publiczne oraz wsparcie dla bezrobotnych zyskiwał szerokie poparcie polityczne i społeczne, jednak nie przekładało się to na realne działania. Ład oparty na ekonomii klasycznej był jeszcze zbyt silnie zakorzeniony w instytucjach społeczno-politycznych, aby wypowiedzieć mu otwartą wojnę. Taki właśnie układ dotrwał aż do wybuchu drugiej wojny światowej.

W obliczu powyższego błędem jest zatem stwierdzenie, jakoby od momentu dojścia do władzy, lewica „szybko wzięła się do roboty i nadrobiła stracony czas”. Przynajmniej do wybuchu drugiej wojny światowej Szwedzi mieli do czynienia z leseferystyczną gospodarką rynkową, choć klimat intelektualny i polityczny epoki powoli ulegał już zmianie. Rewolucję socjalistyczną odrzucono też na samym gruncie ideologicznym jeszcze na długo zanim świat zachodni rozczarował się co do „sukcesów” Związku Sowieckiego.

No dobrze, cóż jednak z okresem powojennym, kiedy to przeprowadzono „największe socjalistyczne reformy”? Nowe pokolenie socjaldemokratów faktycznie było zdeterminowane, aby realizować przedwojenne wizje, które wówczas stały się już realne pod względem finansowym i społecznym. Otwarcie mówiono o „czasie zniw” po długim okresie czekania. Ponownie – nie odbyło się to jednak znów tak szybko. Na pierwszym miejscu znalazła się gospodarka. Przez pierwsze lata powojenne prawie cały czas znajdowała się na krawędzi przegrzania – efekt bardzo wysokiego popytu na szwedzkie dobra zgłaszany przez całą Europę i dosłownie pełnego zatrudnienia. W tej sytuacji keynesowski aparat dostrajania gospodarki (*fine-tuning*) całkowicie zawodził. Szwedzi poszukiwali innego rozwiązania. Takowe zaproponowali w 1951 roku dwaj ekonomiści związkowi, Gösta Rehn i Rudolf Meidner, którzy logikę mechanizmu rynkowego wdobyli w schemat wyrafinowanych powiązań (zwanych później modelem Rehna-Meidnera) dążących do maksymalnie efektywnego jej wykorzystania. Ujmując rzecz w skrócie, przewidywali oni chłodzenie gospodarki za pomocą restrykcyjnej polityki fiskalnej oraz temperowania żądań płacowych robotników. Towarzyszyć temu miała solidarna polityka płac polegająca na stabilnych podwyżkach oraz zrównywaniu wynagrodzeń pracowników w całej gospodarce pracujących

na podobnych stanowiskach pracy. W rezultacie zakłady produkcyjne o najniższej efektywności wytwarzania upadały ze względu na wysokie koszty, a placówki o wysokiej wydajności otrzymywały premię w postaci niższych kosztów płacowych. W ten sposób siłą rzeczy powstawały „wyspy bezrobocia” w różnych miejscach w kraju, z którymi walczono za pomocą aktywnej polityki rynku pracy (przekwalifikowania, szkolenia, dotacje, itp.), aby utrzymać stan pełnego zatrudnienia. Na pozór arbitralna interwencja w system rynkowy okazuje się jednak zgodna z jego regułami jeśli spojrzymy na to w inny sposób. Przedsiębiorstwa konkurują między sobą między innymi za pomocą poziomu kosztów – firmy o wyższych kosztach i niższej rentowności w długim okresie i tak upadną, a te o kosztach niższych (w teorii konkurencji doskonałej określane mianem firm reprezentacyjnych) utrzymają się w branży oferując swoje produkty po niższych cenach. Twórcy modelu RM świadomie zamierzali przyspieszyć ten proces za pomocą solidarnej polityki płac, uwalniając w ten sposób kapitały i siłę roboczą możliwą do wykorzystania w bardziej efektywny sposób.

Po co jednak cała ta ekwilibrystyka? Ano po to, by szwedzkie produkty mogły utrzymać swoją wysoką konkurencyjność na światowych rynkach. Szwedzi doskonale zdawali sobie sprawę z tego, że ich dobrobyt w dużej mierze zależał od ich potencjału eksportowego. Dzięki solidarnej polityce płac ograniczono niekontrolowane żądania podwyżek płacowych, a także zapewniano firmom eksportowym (z reguły dużym podmiotom gospodarczym) dopływ dobrze wykwalifikowanej i wyszkolonej siły roboczej. I wbrew pozorom, system ten działał lepiej czy gorzej aż do połowy lat 70. XX wieku, co przyznaje nawet znany krytyk tej polityki Erik Lundberg wskazując na wysoki wzrost wydajności produkcji w wielu branżach. Pozostawienie tych procesów samoistnym dostosowaniom mogło okazać się zgubne w skutkach ze względu na rozbuchane żądania płacowe i gwałtowny wzrost kosztów produkcji.

Sytuacja zmieniła się w wyniku kryzysów naftowych, podobnie zresztą jak na całym świecie. Coraz trudniej było utrzymać pełne zatrudnienie w gospodarce połączone ze stabilnym wzrostem płac. Związki zawodowe nie chciały tego jednak zrozumieć. Co więcej, naciskając na partię socjaldemokratyczną zaczęły domagać się coraz większych przywilejów pracowniczych – ochrony zatrudnienia i prawa do współdecydowania odnośnie decyzji kierowniczych w firmach. Największe oburzenie społeczne wzbudził jednak projekt funduszy robotniczych, finansowanych ze składek osób pracujących, a mających na celu stopniowe wykupywanie przedsiębiorstw po to, aby działacze związkowi mogli przejąć nad nimi całkowitą kontrolę. To ostatnie okazało się nie do przełknięcia nawet dla socjaldemokratów. Ale to i tak nie miało już większego znaczenia, ponieważ w 1976 roku po raz pierwszy od

blisko pół wieku przegrali wybory z koalicją wyborczą centroprawicy, głoszącą idee bliższe wolnemu rynkowi.

Nowa władza szybko jednak rozczarowała środowiska liberalne. Przez sześć lat pozostawania u władzy wikała się w wewnętrzne konflikty, prowadziła politykę nacjonalizacji przedsiębiorstw, akumulacji długu publicznego oraz dewaluacji waluty, a więc wszystko to, czego socjaldemokraci wyjątkowo się wystrzegali! Dopiero po powrocie socjaldemokratów do władzy w 1982 roku okazało się, że to oni właśnie stali się propagatorami nowego, bardziej liberalnego porządku. W drugiej połowie dekady zniesiono ograniczenia kredytowe, kontrolę kapitału, sprywatyzowano wiele branż i zaczęto przygotowania do szeroko zakrojonej reformy podatkowej. Myliłby się jednak ten, kto sądzi, iż planowano zmniejszenie ciężaru podatkowego – reforma ta miała być samofinansująca, tzn. redukcję stawek podatków bezpośrednich zamierzano zniwelować podwyższeniem podatków pośrednich. Najważniejsze jednak było to, że w 1990 roku ostatecznie porzucono paradygmat pełnego zatrudnienia przyjmując w jego miejsce troskę o stabilność cen. Epoka „klasycznego” modelu szwedzkiego dobiegła końca.

Zanim jednak przejdziemy do uwspółcześnionej, zreformowanej wersji tego modelu powróćmy na moment do okresu sprzed owych przemian, do sławetnej redystrybucji dochodu doprowadzonej do ekstremum. Tu nie chodziło tylko o samą redystrybucję i dążenie do egalitaryzmu, choć to też miało duże znaczenie. W pewnym sensie pełniła ona bowiem funkcję uzupełniającą w stosunku do sfery gospodarczej. Zauważmy, że szwedzka „socjalistyczna” polityka gospodarcza opierała się w dużej mierze na istnieniu niezwykle silnej koncentracji kapitału w rękach prywatnych, który w założeniu miał być wykorzystywany maksymalnie efektywnie kierując się miarą rentowności, a nie celami społecznymi. Te ostatnie zostawiano państwu, które prowadziło szeroko zakrojoną politykę społeczną, w tym przede wszystkim redystrybucji dochodu. Z rynku ściągano zatem odpowiedzialność społeczną – miał funkcjonować nie przejmując się konsekwencjami w sferze społecznej (sic!). Marginalna stopa podatku od dochodu rzeczywiście często przekraczała ponad 80% (aż dziw, że red. Wróblewski pominął największy smaczek w historii szwedzkiego fiskalizmu w postaci opodatkowania Astrid Lindgren na poziomie 102% dochodu!), ale nie oznaczało to, że osoba ta pozostawała bez środków do życia. Każdemu obywatelowi Szwecji przysługiwały bowiem transfery z różnych tytułów. Rzeczywisty dochód do dyspozycji był tym samym wyższy niż wyglądałoby to z tabel podatkowych.

Co najciekawsze jednak, wielu badaczy podkreśla (np. Sven Steinmo), iż redystrybucja tak naprawdę odbywała się w innym kierunku – od podatników do

przedsiębiorstw. Te ostatnie były traktowane w sposób wyjątkowo preferencyjny w szwedzkim „socjalizmie”. Nieopodatkowane rezerwy inwestycyjne, różnorakie ulgi podatkowe, zwolnienia i dopłaty doprowadziły do tego, iż w rzeczywistości wiele firm płaciło podatek dochodowy dobrowolnie (!) traktując wykazanie zysku jako sprawę prestiżu, a nie zło konieczne. Poza tym, jak twierdzi ekspert podatkowy Sven-Olof Lodin, gdyby od dochodów budżetowych z tytułu opodatkowania firm odjąć ulgi inwestycyjne udzielane przedsiębiorcom, okazałoby się, że budżet państwa tracił pieniądze na opodatkowaniu przedsiębiorstw! Nie dziw więc, że socjaldemokraci byli powszechnie nazywani partią biznesu, a zarządy wielkich firm naprawdę obawiały się dojścia opozycji politycznej do władzy. W połowie lat 70. prezes zarządu Elektroluxa twierdził, iż „w zamian za utrzymanie pełnego zatrudnienia przez sektor przemysłowy, szwedzki ‘socjalistyczny’ rząd stworzył taki system podatkowy, który równie dobrze mógłby być zaprojektowany przez głównego księgowego jakiejś korporacji. Trudno wyobrazić sobie system podatkowy korzystniejszy dla rachunku finansowego firmy”. Wygląda więc na to, że zgodnie z tym, co twierdzą szwedzcy badacze Magnus Henrekson i Ulf Jakobsson, powojenny rozwój gospodarczy Szwecji przebiegał według wzorca opisanego przez Josepha Schumpetera – w zaawansowanym kapitalizmie dominującą rolę odgrywały duże korporacje, a rola indywidualnego przedsiębiorcy stopniowo malała. Etapu socjalizmu nigdy jednak nie osiągnięto.

To, co rozłożyło model szwedzki na łopatki, to skostnienie systemu. Brak progresji i innowacji, zamknięcie w wymuszonej skorupie gospodarki przemysłowej, podczas gdy świat wkraczał w erę usług i nowych technologii. Firmy, którym stworzono tak korzystne warunki funkcjonowania, ugrzęzły w swoich branżach i zaprzestały innowacyjności, na którą liczyli decydenci. Automatyzacja produkcji powodowała też, że przemysłowy sektor eksportowy potrzebował coraz mniej pracowników. Przyjmował ich więc sektor publiczny. To on zresztą był odpowiedzialny za wzrost partycypacji kobiet w gospodarce, a nie wspomniane przez red. Wróblewskiego przywileje – dawał im zatrudnienie oraz gwarantował opiekę nad dziećmi, osobami starszymi i potrzebującymi stałej pomocy. Nie można też twierdzić, że pod koniec lat 80. bezrobocie w Szwecji sięgnęło prawie 13%. Otóż wręcz przeciwnie – w 1989 roku bezrobocie było rekordowo niskie i wynosiło 1,5%. Dopiero w wyniku szwedzkiej „transformacji systemowej” i późniejszego kryzysu lat 1991-1993 sięgnęło według oficjalnych danych 8%. Tylko gdyby dodać do tego osoby korzystające z programów polityki wsparcia rynku pracy oraz subsydiowane miejsca pracy, to w 1994 roku faktycznie sięgnęło 13%. Szybko jednak spadło do wartości jednocyfrowych. Za szwedzki upadek odpowiadały też roszczeniowe związki zawodowe, które w wyścigu o podwyżki i wzajemną konkurencję

zupełnie nie zważyły na potrzeby sektora eksportowego podporządkowując go tak naprawdę oczekiwaniom sektora publicznego w tym sensie, że najpierw dyktowano podwyżki płacowe w budżetówce, a dopiero do nich dostosowywano te w sektorze prywatnym. Rynki światowe nie wykazywały jednak zrozumienia dla szwedzkiej polityki wewnętrznej i przestawały kupować szwedzkie produkty głównie ze względu na wysokie ceny i pogarszającą się jakość. Tak, polityka egalitaryzmu i solidarności społecznej uległa w końcu radykalizacji i to w najtrudniejszym okresie dla światowej i szwedzkiej gospodarki. Model szwedzki stracił swoje oparcie w rzeczywistości. Nie przetrwał, ponieważ zmieniły się globalne warunki gospodarowania – nastąpił koniec zamkniętych gospodarek narodowych, pełnego zatrudnienia i kontroli kapitału.

Należy z całą mocą podkreślić, że za przeprowadzenie trudnych zmian wzięli się w końcu socjaldemokraci. I zapłacili za to cenę polityczną tracąc władzę w 1991 roku. W tym kontekście inaczej wygląda więc zdanie, że „pod koniec lat 80. rządzący poszli po rozum do głowy i zaczęli deregulować”. To była bardzo trudna decyzja. System, któremu socjaldemokraci poświęcili tyle czasu i wysiłku, funkcjonował coraz gorzej i zmierzał ku katastrofie. Większość działaczy nadal zresztą tego nie dostrzegała. Z kolei centroprawica okazała się zupełnie nieodpowiedzialna, gdy miała szansę wprowadzić zmiany. To bezpośrednim następcom bezsensownie zamordowanego premiera Olafa Palmego przyszło reformować socjaldemokratyczny ład na modłę (neo)liberalną. Socjaldemokraci byli więc zarówno jego twórcami, jak i opiekunami na łożu śmierci.

W 1994 roku, po krótkich rządach centroprawicy, socjaldemokracja ponownie powróciła do władzy nie rezygnując z obranej ścieżki reform, mimo poważnego kryzysu, jaki one wywołały. Rząd Görana Perssona narzucił ścisłą dyscyplinę fiskalną (po poprzednikach odziedziczył dług publiczny na poziomie 76% PKB), kontynuował walkę z inflacją i bezrobociem oraz rozpoczął stopniową redukcję świadczeń socjalnych i systemu transferów. Nie oznacza to jednak, że całkowicie zdemontowano szwedzki system zabezpieczeń społecznych! Cieszył się on i nadal się cieszy zbyt wysokim poparciem społecznym, aby jego dekonstrukcja była możliwa. Socjaldemokraci pod wodzą Perssona dążyli nie tyle do zmiany systemu, tylko uratowania z niego tyle, ile się dało w zmienionych warunkach otoczenia. Utrzymano powszechność i uniwersalność świadczeń, ich relatywnie wysoki poziom oraz duże obciążenia podatkowe. (Czy to jednak źle, jeśli w demokratycznym kraju ludzie akceptują taki stan rzeczy, a gospodarka ma się dobrze?) Rzeczywiście, tak jak pisze red. Wróblewski, po 1975 roku ciężar fiskalny wynosił ponad 50% PKB i w 1989 roku prawie dotknął 57% PKB (a nie w końcu lat 90.!). Dzisiaj jednak wynosi ponad 45% i nadal

pozostaje, obok innych krajów skandynawskich, jednym z najwyższych na świecie. Dlaczego więc tego też nie nazwiemy socjalizmem tylko głosimy powrót nieskrępowanego wolnego rynku? Czyżby granica 50% miała aż tak magiczne znaczenie? Szkoda, że nie wspomniano jeszcze o tym, że podatek dochodowy dla najbogatszych wynosi w Szwecji 56,8% (a niższy próg wynosi 51,8%) i jest absolutnie najwyższy wśród krajów OECD. Wydatki sektora publicznego w 2010 roku wyniosły w Szwecji równowartość prawie 53% PKB. Czyż nie jest to rozbój w biały dzień? Szwedzi rzeczywiście się dzisiaj bogacą, jak z dumą podkreśla red. Wróblewski. Tyle tylko, że nie zrezygnowali z rozbudowanego sektora publicznego. Ale tego się niestety nie dostrzega widząc tylko deregulację, prywatyzację i liberalizację. A to niepełny obraz zmian.

Niech nas nie myli też to, że dzisiaj u władzy przez drugą kadencję pozostaje koalicja centroprawicowa Alliansen. Jest rzeczą powszechnie znaną, że koalicjanci pod wodzą Frederika Reinfeldta wygrali wybory w 2006 roku dlatego, że przejęli retorykę socjaldemokratów – głosili publiczne wsparcie dla rynku pracy oraz lepszą jakość usług opiekuńczych. Socjaldemokraci stali się zresztą cieniem samych siebie sprzed kilku lat – zupełny brak liderów i silnych osobowości okazał się chyba decydujący dla ich politycznego schyłku. Wracając jednak do Alliansen, przecież nawet ich główne hasło wyborcze brzmiało mało liberalnie: „Więcej ludzi pracujących – więcej do podziału”! Czyżby socjalizm? Zwał jak zwał, ale nowa koalicja kontynuowała przemiany zapoczątkowane przez socjaldemokratów w latach 90. Dzisiaj Reinfeldt też nie buduje neoliberalizmu na modłę anglosaską – prędzej dostosowuje politykę opiekuńczości do nowych uwarunkowań.

Powiedzmy więc sobie jasno – **model szwedzki nie skończył się w latach 90.!!!** On trwa nadal w postaci państwowego paternalizmu, opieki społecznej, siatki zabezpieczeń socjalnych, wysokich podatków i transferów. Dalej funkcjonuje korporacyjny i uzwiązkowiony model rynku pracy, ponownie prowadzi się zbiorowe negocjacje płacowe jak w latach 70., znów sektor wewnętrzny gospodarki staje się podporządkowany sektorowi eksportowemu – właśnie tak, jak zakładała powojenna polityka gospodarcza Szwecji. Oczywiście, w latach 90. zlikwidowano wiele absurdalnych przepisów, których istnienia nie sposób zaprzeczyć. Nastąpiło (przynajmniej częściowe) rozliczenie z niedopuszczalnej inżynierii społecznej – m.in. sprawy domów zastępczych czy przymusowej sterylizacji. Zreformowano niesprawiedliwy i dyskryminujący system podatkowy, dopuszczono prywatną konkurencję do działań zarezerwowanych tylko dla państwa, zrezygnowano ze skrajnego interwencjonizmu. Ale nie wprowadzono tam „wolnej amerykanki”, którą zachłystujemy się w Polsce. Nadal w małych miejscowościach czy na miejskich osiedlach stoi *jeden*

supermarket. Nadal w telewizji nie wolno reklamować zabawek dla dzieci. Nadal pobocza dróg i miasteczka nie są upstrzone krzykliwymi reklamami. Nadal funkcjonuje Systembolaget, czyli państwowy monopol na sprzedaż napojów alkoholowych (o zawartości powyżej 3,5%). Przykłady można mnożyć. Pozostaje pytanie jednak – na ile tak naprawdę mówimy tutaj o ograniczeniu wolności? Na dobrą sprawę można by to przecież podciągnąć pod łagodną inżynierię społeczną? Tutaj powracamy do odwiecznego pytania ekonomistów, polityków i filozofów społecznych – ile rynku, a ile państwa? Przecież z każdą z powyższych spraw rynek świetnie dałby sobie radę. Tylko może właśnie nie o to chodzi! Może system rynkowy nie powinien zawsze dominować nad sferą społeczną. Zgodzić należy się z francuskim myślicielem Jean-François Lyotardem, który uważał, iż „kapitalizm jest konieczny, ale nie celowy”. Dzisiaj jednak traktuje się go jako cel sam w sobie i podporządkowuje mu prawie wszystkie sfery życia człowieka. A Szwedzi ciągle mają odwagę się temu sprzeciwiać.

Osobiście odnoszę wrażenie, że Szwecję określano (i nadal, jak widać, ma to miejsce) mianem kraju socjalistycznego dlatego, że później niż inne kraje odeszła od keynesistowskiej polityki pełnego zatrudnienia. Nie dostrzega się natomiast tego, że system gospodarczy tego kraju *zawsze* opierał się na konkurencyjnej gospodarce rynkowej. Bez niej model szwedzki stałby się dysfunkcyjny dużo, dużo wcześniej. To natomiast, co razi współczesnych komentatorów i myślicieli, to fakt, że ów model w swojej radykalizowanej wersji lat 70. i 80. zakładał pełną onnipotencję państwa w sferze społecznej, co siłą rzeczy rozlewało się także na sferę gospodarczą. To oczywiście prawda, ale zakładanie, że Szwecja była wówczas wręcz piekłem na ziemi jest wierutną bzdurą. Mówi się o zniewoleniu mieszkańców kraju. W prywatnej rozmowie Szwedzi starszego pokolenia zadają jednak proste pytanie – na cóż takiego mógł sobie pozwolić przeciętny, dajmy na to, Brytyjczyk, a Szwed nie? Takich rzeczy jest zaskakująco niewiele, szczególnie, że przeciętny dochód do dyspozycji w Szwecji był wyższy dzięki owej niesławnej redystrybucji dochodu. Dalej, warto poczytać wywiady z ówczesnymi menedżerami wyższego szczebla w firmach takich jak Volvo. Cóż z tego, że w Stanach Zjednoczonych zarobili by dużo większe pieniądze, skoro nie mieliby czasu na nic innego niż siedzenie w biurze od świtu do nocy? Woleli pozostać w Szwecji, gdzie mieli możliwość przeznaczenia tego czasu dla swojej rodziny. A na życie też im nie brakowało, mimo wysokich podatków. Nie chodzi więc o to, że ludzie dążyli do zmiany systemu, których ich bezlitośnie tłamsił (choć pod pewnymi względami jest w tym ziarno prawdy). System po prostu stał się niewydolny w nowych warunkach otoczenia i musiał się do nich dostosować. Nawiasem mówiąc, zastanawiające jest też to, iż niezmiernie rzadko podnosi się

fakt, że w 1980 roku w Stanach Zjednoczonych maksymalna stawka podatku dochodowego wynosiła 70%, a w latach powojennych przekraczała 90%, a więc była dużo wyższa niż w Szwecji. Nie krzyczy się jednak o socjalizmie amerykańskim. Zanim Margaret Thatcher doszła do władzy, brytyjskie związki zawodowe miały czelność doprowadzić do prawie całkowitego sparaliżowania kraju. W Szwecji nigdy się do tego nie posunęły, choć tarcia polityczne były ostre. Toteż nigdy postać na miarę Żelaznej Damy nie doszła tam do władzy. Cóż, niuansy. Szkoda, że często przemilczane.

Znamienne, że to reformy lat 80. i 90., a nie sam model szwedzki, określa się w Szwecji mianem trzeciej drogi. Ale nie drogi między socjalizmem i kapitalizmem, tylko pomiędzy polityką gospodarczą Margaret Thatcher a keynesizmem w stylu François Mitteranda. Szwedzi nigdy nie zamierzali wprowadzać neoliberalizmu w czystej postaci, preferowali raczej stopniową transformację obowiązującego systemu, który nie funkcjonował tak, jak zakładano. Zdaniem Assara Lindbecka, znanego szwedzkiego ekonomisty i jednocześnie centralnej postaci tamtejszego liberalizmu, w latach 70. i 80. nastąpiło „przestrzelenie celu” w polityce opiekuńczości i bezpieczeństwa socjalnego. Według jego raportu dla rządu sporządzonego w 1993 roku należało tak skorygować założenia gospodarcze kraju, aby przywrócić konkurencyjność eksportową. Lindbeck odżegnywał się jednak od zamiaru dekonstrukcji całego systemu polityki dobrobytu. Uważał, że było to zbyt ważne dziedzictwo szwedzkiej polityki społecznej, które nadal spełniało swoje funkcje, oraz integralna część szwedzkiej tożsamości. Należało go zreformować, ale nie porzucać! I właśnie tą drogą podążono, tak jak dzisiaj czyni to Reinfeldt.

Szwedzki przykład dowodzi tego, że sfera gospodarcza może w dużym stopniu pozostawać funkcją sfery społecznej. To, że triumfy dzisiaj święci neoliberalizm, nie oznacza, że szwedzka droga była błędna. Wszystko jest wytworem swoich czasów i specyficznych uwarunkowań, jak mawiał John Kenneth Galbraith. Tak długo, jak obowiązywał keynesistowski paradygmat polityki gospodarczej, mogły funkcjonować różne jego modyfikacje i konwersje dyktowane potrzebą pragmatyzmu lub lokalnej polityki. Szwedzi zdecydowali się zbyt długo pozostać przy własnej wersji polityki pełnego zatrudnienia aż dobrnęli do ściany. Tą ścieżką podążały też inne kraje europejskie, choć szybciej z niej zrezygnowały. Można mówić o nadmiernej (czasem aż nazbyt!) opiekuńczości szwedzkiej polityki społecznej, ale nie określamy całości ówczesnych rozwiązań mianem socjalizmu!

Warto też stosować stałe kryteria oceny wydarzeń z przeszłości oraz tych dzisiejszych. Jeśli model szwedzki nazwiemy socjalizmem ze względu na wysoki udział państwa w redystrybucji dochodów oraz wysoki ciężar fiskalny, to konsekwentnie używajmy tego

pojęcia w odniesieniu do stanu obecnego! Jeśli natomiast podkreślamy dzisiejszą uwolnioną przedsiębiorczość Szwedów oraz przyjazny biznesowi aparat państwowy, to nie odmawiamy tego minionej polityce umieszczając to w kontekście powszechnego wówczas interwencjonizmu. Wygląda bowiem na to, że kryteria stosowane do poprzednich dekad tak jakby traciły dzisiaj znaczenie, a jednocześnie odmawiamy przyłożenia kryteriów oceny współczesności do realiów przeszłości. Zresztą powoływanie się na Ludwiga von Misesa (skądinąd znakomitego ekonomisty) jako wyłącznego posiadacza probierza zdolnego ocenić czy określona gospodarka należy do rynkowych czy socjalistycznych jest nieporozumieniem. W oczach wielu przedstawicieli szkoły austriackiej chyba wszystkie kraje wysoko rozwinięte należałoby uznać dzisiaj za socjalistyczne. Dość powiedzieć, że von Mises na spotkaniach Stowarzyszenia Mont Pelerin, gromadzącego najbardziej liberalnych ekonomistów świata, potrafił wściec się na wszystkich zgromadzonych i wykrzyknąć: „Wszyscy jesteście socjalistami!”. Mówienie o szwedzkim „socjalizmie” jest tym samym dużym uproszczeniem, choć zgodnym z dzisiejszą wiarą w doskonałość wolnego rynku i jego nadrzędności wobec procesów i struktur społecznych.

W samej istocie sprawy nie chodzi tutaj chyba zresztą o kwestie semantyczne. Socjalizm, komunitaryzm, interwencjonizm, keynesizm, czy jakakolwiek inna forma „izmu” jest tylko wymówką. Dla mnie zupełnie niezrozumiałe jest odnoszenie się do modelu szwedzkiego z tak przejmującym poczuciem pogardy i wyższości, z wręcz radością wynikającą z możliwości skopania systemu leżącego niegdyś na deskach. Chyba ze zbyt dużą pewnością założyliśmy neoliberalne okulary pozwalające nam krytykować wcześniejszy porządek, tak samo zresztą jak keynesizm w pewnym momencie traktował z wyższością ład leseferystyczny. Szwedzi próbowali szukać swojego szczęścia pomiędzy dwoma wzajemnie zwalczającymi się systemami totalitarnymi, gdzie w jednym z nich szczęście było dekretowane, a w drugim osiągnano je za cenę wyścigu szczurów, grubiaństwa i rozpychania łokciami. Szukano go nie w konkurencji, a w pokojowej kooperacji i współdziałaniu, w próbie zrozumienia drugiej strony. Dzisiaj świat zachodni zaczyna powoli dostrzegać, że ogólnoświatowy eksport neoliberalizmu czy konsensusu waszyngtońskiego także był pokazem wybitnej arogancji ideowej. I zżyma się, gdy dostrzega jak np. kraje azjatyckie wybierają własną drogę rozwoju niewiele sobie robiąc z rekomendacji „lepiej wiedzącej” części świata. Oby w końcu przerodziło się to w większe pokłady pokory i szacunku dla alternatywnych rozwiązań.